

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Brückner Aleksander. *Literatura religijna w Polsce średniowiecznej* skreślił... Tom I. „Kazania i pieśni“; szkice literackie i obyczajowe. Warszawa, 1902. 8-ka, kt. nl. 2, str. 235 i 1 nlb.

Dawniejsze prace niestrudzonego berlińskiego profesora, porozrzucając po piśmiennictwie i wydawnictwach peryodycznych, posłużyły mu obecnie za podkład do omawianego dzieła. Nie jest ono bynajmniej, — mógłby kto sądzić, — prostym zlepkiem dawniejszych owych rozpraw. Jest ono natomiast zupełnie nowem, z nowymi szczegółami i wynikami, jeno opartem na tamtych pod względem omawianych w niem przedmiotów. Tem większa jest zasługa autora, że wyrzucił zupełnie z tej pracy balast naukowy i ciężkie cytaty łacińskie, co wcale nie ujęło dziełu naukowej wartości, a za to dało możność zapoznania się z pomnikami dawnego naszego piśmiennictwa szerszym kołem społeczeństwa. Obecnie nawet zawodowy badacz, mając tę książkę pod ręką, uniknie poszukiwań po czasopiśmie z drobnymi artykułami, otrzymuje ponadto wiele nowych spostrzeżeń i rezultatów, jakich tam nie było. Poza niezaprzeczoną wartością, jaką ma ta praca dla historii literatury, ma ona z pewnością wcale nie mniejszą tak dla historii kultury naszej, jak i dla etnografii. Prof. Brückner bowiem, jeden z nielicznych u nas gruntownych znawców folkloru, położył w tej pracy silny nacisk na obyczajową zawartość pomników piśmiennictwa, a stąd też wydobył całe mnóstwo niezwykle ciekawych przesądów i zabobonów, charakteryzujących wybornie ówczesną naszą umysłowość, dających ponadto możność stwierdzenia, iż siła zabobonu jest tak wielka, że nie zniszczy jej nawet długie stulecia, skoro, jak o tem można przekonać się, wiele z tych przesądów trwa do dzisiaj nieprzerwanie w ustach ludu, przechodząc tradycją z pokolenia na pokolenie.

Jak wiele ma do zawdzięczenia dzisiejsza nauka pierwszym naszym kaznodziejom i kazaniom, wygłoszonym przez nich, o tem można się przekonać zaraz z samego początku książki, kiedy to prof. Brückner nakreśliwszy drogę, na jakiej rozwinęło się u nas kaznodziejstwo w wieku XV., zajmuje się postacią Hieronima z Pragi, którego opowiadaniu zawdzięczamy arcyważny przyczynek do mitologii litewskiej, w dziele Eneasza Sylwiusza p. t. „De Europa“. Dowiadujemy się stąd o kultach religijnych starożytnej Litwy, jakich było kilka: o kulcie węży domowych, świętego ognia (z którego wróżyli kapłani o wyzdrowieniu lub śmierci chorych), o kulcie słońca i lasów, poświęconych dyabłom. Że relacya Hieronima jest wiarygodna, to potwierdza wiele faktów. I tak: z Gwagnina, Strykowskiemu i Łasicickiemu wiemy, że cześć węży była na Litwie powszechna jeszcze w drugiej połowie XVI. stulecia, wróżby z ognia są pospolite u ludów dzikich, mit znowu o zakuciu słońca przez jakieś potęgi i odkuciu jego — jest najzwyczajniejszym mitem solarnym; również i o kulcie gajów wiemy wiele z Łasicickiego i relacyi Jezuitów, którzy działali między Lotyszami na początku XVII. wieku.

Ale relacya ta jest niczem w porównaniu z niesłychanem bogactwem szczegółów obyczajowych, jakie zawierają kazania. Naturalnie w korzy-

staniu z nich trzeba postępować bardzo ostrożnie z dwu powodów. Nie-raz bowiem kaznodzieja podawał fakta, jakie tylko w obcych krajach mogły mieć zastosowanie, lub też umniejszał prawdziwość faktu zbyt jaskrawem koloryzowaniem jego. Najgorliwiej walczyli księża przeciwko pogaństwu, t. j. przeciw resztkom bałwochwalstwa. Tyle zaś jest tych przesądów, że można je nawet uszeregować podług świąt kalendarzowych. I tak: w wilgę Bożego Narodzenia nie wypożycza się ognia, bo szczęście opuściłoby dom, uważa się, aby pierwszy gość był czysto ubrany i miał w życiu szczęście, resztki wieczerzy wigilijnej wysiewa się, bo z nich obrodzi się n. p. pietruszka w ogrodzie. Na Nowy Rok gromadzki pastuch rozdaje pręty, których nie należy brać gołą ręką; tymi prętami wypędzają potem bydło po raz pierwszy w pole. Na M. B. Gromniczną wypalają gromnicami sierść na karku krowom, aby dobrze się chowały, aby nie uległy czarom i nie poniosły szkody od psa wściekłego. Na Popielec wróżą z soli, kto prędzej umrze. W Wielki Czwartek zostawia się na noc resztki wieczerzy dla dusz zmarłych; w Wielką Sobotę chowano święcone głównie, jako lekarstwo dla bydła; w niedzielę wielkanocną obchodzono z krzyżem pola, aby je uchronić od gradu. Dowiadujemy się też wiele o t. zw. „dyngusie“, o tem, że w dniu krzyżowe zbierano trawę dla czarów z tego miejsca, na którem stawała procesya, że w noc przed św. Janem Chrzcicielem czuwano, aby uniknąć przez cały rok bólu oczu, obwiązywano głowę bylicą, aby uchronić się od bólu głowy, że wreszcie używano ziół święconych na Wniebowzięcie Matki Boskiej, do leczenia bydła i kadzenia niemi podczas burzy i t. d.

Z przesądów, przywiązanych do dni tygodniowych, wymieniam: poniedziałek, jako dzień feralny, i piątek, w który nie wydaje się ognia z domu. Zważano nadto na pewne godziny dnia przy kupnach, zawieraniu ślubów i zbieraniu ziół. Po zachodzie słońca nie można sprzedawać mleka, aby nie zaszkodzić bydłu. Na nowiu modlono się, aby uchronić się od bólu głowy. (Oba ostatnie zwyczaje zachowały się do dzisiaj). Gdy na wiosnę wychodzono po raz pierwszy z pługiem na rolę, obwieszano wołom rogi rozmaitemi rzeczami i obsypywano je chmielem, aby urodzaj był obfity, a i do wysiewanego zboża dodawano poświęconego na Popielec popiołu.

Również liczne są przesady, tyjące się pewnych faz życia, zajęć i stanów. W czasie wesela wróżono o płodności małżeństwa, o płci dzieci i t. p. Ci, którzy stawiali dom lub przenosili się z jednego mieszkania do drugiego, starali się w rozmaity sposób dowiedzieć się, jak im się będzie powodzić? Kupna nie należy dokonywać gołą ręką, to też przy umowach podawano sobie ręce przez sukmanę. Rybacy i strzelcy okadzali się święconem ziele przed wyjściem na łowy. Karczmarze również używali guseł, aby prędzej wyszynkować napój i gości zwabić do siebie. Materyału do tych guseł dostarczały im czarownice.

Najlichniesze były przesady i gusła lecznicze przeciwko urokom i czarom. Leczone zatem choroby ludzkie i zwierzęce zażegnaniem we wszystkich formach, jakie obecnie wśród ludu istnieją. Nie mniej noszono amulety, jako środek ochronny przed urokami i chorobami, wiara zaś w sny była powszechna. Ogromna też była ilość wierzeń, tyjących się widoku lub spotkania ludzi, zwierząt i ptaków, równie jak dzisiaj, i to nie tylko wśród ludu.

Nie można naturalnie ani przez chwilę myśleć, jakoby n. p. obrzędy i zwyczaje naszego ludu, związane z świętami lub pewnymi porami roku, były rodzime. Przybyły one z Zachodu i Południa dopiero z chrześcijaństwem, tylko tak silnie zrosły się z ludem, że trudno je odróżnić od pierwotnych. Tak samo ma się rzecz z amuletami, odczynianiem uroku i wiarą w czary i czarownice. Wcale jednakże nie można przeczyć, iż już w pogaństwie istniał pewien zapas skłonności i wierzeń, który ułatwiał późniejsze przyjęcie zabobonnego i obrzędowego materiału, jaki w obcych krajach przyplątał się do obrzędów chrześcijańskich.

Wielki wpływ wywierało też kaznodziejstwo na tradycję ludową, odgrywając w XV-XVII. wieku niemałą rolę w historii wędrowek powieści. To n. p., co u nas opowiadano o Stańczyku i Twardowskim, powstało daleko wcześniej na Zachodzie i dopiero z czasem ugrupowało się około swojskich postaci. Z kazań zaczerpnął niekiedy lud nawet nazwy dla demonicznych postaci własnej wyobraźni. Nazwa n. p. „planetników“ mogła obić się o uszy ludu w kazaniu na Trzech Króli, gdzie mowa o badaniu planet. Nazwy znowu: „mamuna“ i „smolka“ (dyabeł) powstały z Mamony, ducha skąpstwa, i Asmodeusza, ducha rozpusty, powtarzających się gęsto w kazaniach średniowiecznych. Ale to tylko drobne szczegóły.

Pozatem zawdzięcza lud kaznodziejstwu pewien zapas legend, anegdot i podań. Tak n. p. bajka ludowa o uporze kobiety, którą to bajkę obrobił Mickiewicz w Golono-strzyżono i w Żonie upartej, odnajdujemy już w kazaniu Jakuba z XIII. wieku. Wogóle tak z naszej, jak niemniej z obcej literatury, dostało się wiele bajek za pośrednictwem ambony do ludu, tak samo też wiele legend moralizatorsko-pobożnych, nie mówiąc już o anegdotach i apokryfach, jakimi przesadna pobożność ukraszała kazania.

Na tem kończy się obyczajowa część książki prof. Brücknera, za którą każdy miłośnik rzeczy ojczystych powinien czuć wdzięczność. Rozświetla ona wiele zajmujących, a dotąd nietkniętych skalpelem nauki faktów, rozwiązując je pod każdym względem trafnie i szczęśliwie, a w niejednym może dać bodźca do dalszych badań i poszukiwań.

Dr. St. Zdziarski.

Szuchiewicz Włodzimierz. *Huculszczyzna*. Napisał.... (Muzeum im. Dzieduszyckich, tom VI—VII.). Lwów. 1902. Nakładem i staraniem Muzeum im. Dzieduszyckich. Tom I., str. IX., 373, kt. nl. 1; tom II., kt. nl. 3, str. 277, kt. nl. 1; z licznymi rycinami, tablicami chromolitograficznymi i mapą.

Pomimo dość licznych stosunkowo u nas prac o Huculach, nie mieliśmy dotąd, nie powiem już, wyczerpujących o tym górskim ludzie wiadomości, ale nawet nie wiedzieliśmy o nim niczego dokładnie. Znajomość rzeczy huculskich, tak bardzo potrzebną każdemu badaczowi Zakopiańszczyzny i Podhala wogóle, gdyż mają one wiele wspólnego z życiem naszych górali, ułatwił znakomicie p. Szuchiewicz pracą omawianą. Dzieło to, wszechstronnie rozświetlające wszystkie kwestye, mające związek

z Huculszczyzną, wyszło przedtem w wydaniu ruskiem. Myliłby się, kto by sądził, iż polskie wydanie było wobec tego zbędne, gdyż zawiera znacznie więcej od tamtego, zwłaszcza w dziale tak ważnego przemysłu domowego Huculów. Ponadto przyniosło ono o wiele więcej rycin, które, jak wiadomo, nieporównanie lepiej objaśniają przedmiot, niż wszelkie najdokładniejsze opisy. W ogólności trzeba z góry zaznaczyć, że co się tyczy sumiennosci w zebraniu materiału etnograficznego i opracowania tego surowca, nie mamy nic ponad wszelkie uznanie. Dość będzie, jeśli na pochwałę dzieła p. Szuchewicza powiemy, iż literatura naszą etnograficzna ma bardzo mało prac, dorównujących jemu pod każdym względem.

Niepodobieństwem byłoby podawać treść dokładną „Huculszczyzny“, a nawet nie miałoby to celu. Widząc poza samym dokładnym opisem etnograficznym jeszcze coś innego, co uważam za ważniejsze, przynajmniej dla naszej etnografii, pozwolę sobie zwrócić uwagę na zawarty tu materiał porównawczy, tak przydatny dla oceny kultury górali polskich. Co prawda — nie można wysnuwać z licznych podobieństw, jakie są między Podhalanami a Huculami, dziś przynajmniej, jakichkolwiek wniosków, zmierzających do wyjaśnienia tego objawu. Trudno przecież materiał ten porównawczy pominąć milczeniem.

Już samo pochodzenie Huculów dało pochoch do przeróżnych przypuszczeń, zresztą zupełnie gołosłownych, w tym kierunku bowiem jedynie antropologia powołana jest do wydania stanowczego sądu. Jak ongiś o całej Zakopiańszczyźnie kursowały bajki o pochodzeniu jej tatarskiem, tak też i o Huculach prawiono wiele niedorzeczności. Tymczasem okazało się, że zarówno górale polscy, jak niemniej ruscy, są rdzennie słowiańskimi plemionami, zapożycзки zaś obcojęzykowe dostały się do gwary ludowej drogą zupełnie naturalną. Siła plemienna Huculów jest wielka, skoro zdolali się utrzymać na pograniczu rumuńsko-węgierskiem, podobnie jak górale w Zakopiańszczyźnie na pograniczu słowacko-ruśniackiem. Pomimo odmiennego typu antropologicznego, obydwie te plemiona odznaczają się silną i piękną budową ciała, energią oraz swobodą w postawie i ruchach. To też osłaniają piękne ciało pięknym, wymyślnym ubiorem. Ale już tu zachodzi ogromna różnica kulturalna pomiędzy góralami zakopiańskimi a Huculami, która wykazuje niższość tych ostatnich. U Huculów bowiem dbałość o ozdobne przedmioty w ogólności jest bardzo powierzchowna i pochodzi nie tyle z pewnej dozy poczucia estetycznego, ile z próżności. Również i w tem okazuje się ogromna niższość kulturalna Huculów, że nie dbają wcale o czystość ciała: kąpią się bardzo rzadko, czeszą się raz w tygodniu, izby zaś myją trzy razy na rok, słowem — krzewią niechlujstwo w najwyższym stopniu, czyli stanowią najzupełniejszą antytezę zakopiańskich górali w tym kierunku. Mają jednak, jak ci, nader ambitną naturę, wrażliwą na wszelakie krzywdy i zniewagi, wywołującą o byle jaką błahostkę klótnie, bójkę, zabójstwa nawet, mają też inne pojęcie o uczciwości zbójnickiej. Niższa kultura umysłowa Huculów sprawiła niesłychane ubóstwo pieśniowych melodyi, jeszcze większe od zakopiańskich. A jeśli w czem muzyka obu tych plemion jest podobna do siebie, to jedynie w jednostajności swej nużącej. Do cech wspólnych należy jeszcze ogromna luźność pćciowa, jaka jest i u Huculów i u górali naszych, luźność jednak wcale nie większa od tej, jaką widzimy wśród sfer wyższych od ludu. Wydawać się ona może większą dlatego, że jest jawna, podczas

gdy tam ukrywa się ją najstaranniej. Przyszłość Huculszczyzny jest mocno zagrożona, nie taka jak naszych Podhalan, a to dlatego, że Hucul daje się wyzyskiwać na każdym kroku, a nadto nie może pogodzić się z kulturą, szerzoną przez szkoły, koleje żelazne i t. p. czynniki. Smutny horoskop całej Huculszczyźnie postawił sam p. Szuchiewicz w słowach: „Ten Hucul, dla którego koń i strzelba były do niedawna nieodstępnymi towarzyszami, ten Hucul, który dźwiękiem trembity wita na poloninie wschodzące słońce i żegna nią towarzysza, złożonego do grobu, stanie się rychło mityczną postacią!“ Smutna to przepowiednia, ale bardzo prawdopodobna.

Z przykrością przechodzi mi pod koniec zauważyć, iż dzieło omawiane zawiera cały legion rusycyzmów i błędów językowych. Dla przykładu przytoczę kilka: I. 244: „marzyna“, I. 253: „podpuszczka“, I. 37: „znachodzimy“ (znajdujemy), II. 1: „narodzenie“ zam. „narodziny“, II. 6: „warczykowato“, II. 10: „pluwało“ (plulo), II. 45: „ażeby mąż ją nie uderzył“, II. 45: „starszować“, II. 98: „nie pretenduje na wierność“ (zam. „do wierności“, choć i sam czasownik jest już dziwolągiem), II. 98: „przykrasa“, II. 98: „sopiałkowy“ (od *sopiuka*), i t. d. i t. d.

Dr. St. Zdziarski.

Polivka G. *Slavische Sagen vom Wechselbalg.* (Separat-Abdruck aus dem Archiv für Religionswissenschaft). Tübingen und Leipzig. 1903. Verlag von J. C. B. Mohr. 8-ka, str. 151—162.

Tylekroć zasłużony w folklorze porównawczym prof. Dr. Polivka dorzucił w omawianej pracy sporą garść uzupełnień do rozprawy ś. p. Dra Karłowicza p. t. „Germanische Elemente im slavischen Mythos und Brauch“. Nie kusząc się bynajmniej o wyczerpanie przedmiotu, dał nam kilkanaście pokrewnych tradycji, jakie pojawiły się u niektórych słowiańskich narodów. Tradycje te są zwłaszcza bardzo liczne u tych Słowian, którzy stoją w bezpośrednim związku z Niemcami, a zatem przedewszystkiem naczelne miejsce należy się Czechom, w mniejszym stopniu zachowała się ta tradycja w pierwotnej swojej wierności u Polaków i Rusinów. Wersje słowackie czy łużyckie są już wielce zmienione i nadzwyczaj skąpe. Idea wymiany dzieci ludzkich przez istoty nadprzyrodzone pojawia się u wszystkich narodów słowiańskich. Ale pewne cechy charakterystyczne tej tradycji występują w coraz to bledszych barwach lub też giną zupełnie, im dalej posuwamy się z zachodu na wschód. Stąd też można zupełnie śmiało przyjąć, iż tradycja, powstała w Niemczech, szerzyła się w kierunku na wschód drogą zapożyczek jednego narodu od drugiego.

Dr. St. Zdziarski.

Udziela Maryan Dr. *Z ludowej weterynaryi w Bośni* podał... (Odbitka z „Przeglądu weterynarskiego“), Lwów. 1902.

Materyały do powyższej rozprawy zebrał autor w latach 1892 i 93, Pochodzą one z t. z. Posawiny, t. j. okręgu Banialuckiego. Pod względem

treści dzieli się ta praca na dwie części, z których pierwsza obejmuje pogląd na hodowlę inwentarza u ludu bośniackiego, druga — właściwą weterynaryę.

Bośniak hoduje: konie, krowy, woły, bawoły, owce, barany, kozy i świny; te ostatnie oczywiście z wyjątkiem Turków, względnie mieszkańców mahometańskiego wyznania. Hodowla jest bardzo prymitywna, gdyż polega właściwie na wyzyskaniu zwierzęcia, bez dania mu odpowiedniej opieki. Stajnia jest rzadkością, zwierzęta domowe latem i zimą pozostają pod gołym niebem. Najpotrzebniejszym dla Bośniaka jest koń, używany do jazdy wierzchem, jako zwierzę juczne, do robót gospodarskich, nawet takich, jak młócenie zboża. Mimo to nie doznaje opieki takiej, jakiej stosownie do tego należałoby się spodziewać. Wielkie planiny są jedynym dlań schroniskiem, skąpa nieraz ich trawa musi mu starczyć za pożywienie.

Podobnie rzecz się ma z bydłem roгатem, jeśli nie gorzej. Liczba jego bowiem nie odpowiada ilości wyprodukować się mogącej paszy, skutkiem czego zaledwie może wegetować. Hodowla polega właściwie na bezwzględnej rozplądaniu w celu sprzedaży. Wołów używają do robót w gruncie, bawołów do robót cięższych.

Chów drobiu bardzo ograniczony; przyczynę tego upatruje autor w niskich cenach.

Stan zdrowotny zwierząt domowych nie jest gorszy niż gdzieindziej, mimo tak niekorzystnych warunków, co jedynie wytłomaczyć by się dało zahartowaniem. W razie choroby bydła szuka Bośniak pomocy najpierw w swojej własnej umiejętności leczenia, potem u sąsiadów, a wreszcie u obcych, w pierwszym rzędzie u Franciszkanów, spełniających tam obowiązki proboszczów. Autor podaje 83 sposobów czy środków leczenia, rozdzielonych według rodzajów bydła, do którego się odnoszą, i pewnej kategorii organów, na których cierpienia są używane, a mianowicie co do koni, krów, świń, owiec, drobiu i bydła wogóle. Co do samych środków leczenia, to widać w nich te same cechy, co i gdzieindziej. Obok zwykłych mniej lub więcej racjonalnych znajdują się środki sympatyczne. Wszystkie dadzą się podzielić na roślinne (w liczbie 44), zwierzęce (18), mineralne (7), i różne (14). Z tego widać, że największą część ogólnej liczby (53%) obejmują leki roślinne. Autor zauważył tendencję do „niby racjonalnego leczenia pewnymi środkami, wśród których dominujące miejsce zajmują rośliny“. W znacznej części można skonstatować analogię z środkami leczenia ludu naszego.

Wincenty Badura.

Koudelka Florian, c. k. okr. zvěrolékař, (Výškov). Lidove léčení dobytku (Věstník III. Sjezdu českých přírodopýtcův a lékařů v Praze).

Czytając ten referat, wygłoszony na Zjeździe czeskich lekarzy w r. 1901, mamy smutną pociechę, że ten oplakany stan, jaki u nas pod tym względem istnieje, spotyka się także u ludu czeskiego, pomimo że tam więcej szkół, znaczniejszy postęp i oświata, lepszy dobrobyt.

I tam lud nie wzywa prawie nigdy weterynarza do chorego zwierzęcia, ale jeśli już sam sobie nie ufa, udaje się do znachorów, owezarzy

i pasterzy i to mianowicie do tych, którzy potrafią sami czarować i rzucać uroki. Jak bowiem powstanie większej części chorób przypisują czarom, urokom, wogóle tajnym siłom nadprzyrodzonym, tak leczenie uważa za środek przeciwdziałania tymże.

Najwięcej rozpowszechnioną jest wiara w uroki, którym podlegają wszystkie zwierzęta, a które powodują różne choroby. Urok trzeba odczytać, inaczej bydłę chudnie i wreszcie ginie. Jest kilka sposobów leczenia uroków. Najskuteczniej działa „uročnica“ czyli „uročnik“ (*Anthyllis vulneraria* — przelot zwyczajny), którym chore zwierzę należy okadzić. Obmywają też wodą przy stosownych zaklęciach; inny wreszcie sposób polega na t. z. „řezaním nadočníků“, co odpowiada zrywaniu paskudnika u naszego ludu.

Na czary najlepszym środkiem oprócz zażegnowań są zioła, święcone w uroczystość Wniebowzięcia Panny Maryi, jakoteż „kámen hromový“ (belemit). Tym ostatnim przypisuje lud tajemną siłę leczniczą; używa ich też w chorobach, dotykając niemi chorych miejsc, przyczem znachor wymawia jakieś wyrazy. To pomaga tylko, kiedy księżycą ubywa, w innym czasie rozpalają je w ogniu, następnie wrzucają do wody, którą dają pić choremu bydłciu, lub wreszcie zeszkobują kawałek i z wodą podają.

Powiada autor, że jak wiele innych zwyczajów ludu czeskiego, tak i te sposoby leczenia są resztkami dawnych obrzędów religijnych z czasów pogańskich, o których jednak nie można powiedzieć, kiedy powstały i co by znaczyły. Dodamy od siebie, że zwyczaje zabobonne leczenia są właściwe także innym ludom i to nie tylko słowiańskim, a że mniej lub więcej są analogiczne, zatem początku ich należałoby szukać znacznie dalej jak w historii — choćby pogańskiej — jednego ludu czy nawet szczepu.

Wincenty Badura.

Maksymilian Baruch. *Pabianice, Rzgów i wsie okoliczne.* Monografia historyczna. Warszawa. 1903. 8-ka, stron X + 362.

Miasta Pabianice i Rzgów z przyległemi dookoła wsiami i osadami stanowią przedmiot monografii ze względu na ich przeszłość historyczną. Dobra te obejmowały przestrzeń około 10 mil kwadratowych (92.298¹/₂ mórg). Położone dawniej przeważnie w województwie sieradzkim — powiatach szadkowskim i piotrkowskim, częścią w województwie łęczyckim — powiecie brzezińskim, dzisiaj (od r. 1886) w guberni piotrkowskiej w powiecie łoskim i łódzkim. Dzisiejszy wykaz statystyczny dawnych dóbr kapitulnych przedstawia się następująco: 2 miasta i jedna osada miejska; 17 osad karczmarских, 7 młynarskich, 5 leśnych, 1 folwark — własność zarządu dóbr państwa; 7 folwarków, 1 osada leśna — własność majoracka; 5 osad plebańskich; 21 folwarków, 17 osad młynarskich, 25 karczmarских, 8 leśnych, 12 pojedynczych lub kilka domostw, 3 kolonie, 1 wieś — własność prywatna niewłościańska; 111 wsi, kolonij, przysiołków i osad — własność prywatna włościańska.

Omawiane terytoryum w pojęciu czasów piastowskich, mniej lub więcej w granicach dzisiejszych, nosiło nazwę „Chropy“, która to nazwa nie była niczem innym, jak określeniem położenia topograficznego (wraz „chrapy“ czyli jak dawniej wymawiano „chropy“ oznacza miejsca niskie wśród lasu, z gruntem sapowatym). Jak wszystkie ziemie — własność książęca, z końcem wieku chropy, właściwie już kasztelania chropska przeszły na własność kapituły krakowskiej i z małym wyjątkiem pozostawały w jej posiadaniu aż do rozbioru Polski, zmieniając tylko nazwę (kasztelania Pabianice, klucz lub hrabstwo pabiańskie) i stopniowo się zaokrąglając.

Niemalży zasób trudu i znajomości włożył autor w swoją pracę. Odtworzyć bowiem przeszłość większych ognisk społecznych jest rzeczą mniej trudną, podczas gdy dzieje miast i osad mniej ludnych giną w zapomnieniu dla braku źródeł. Szczęśliwy wyjątek pod tym względem stanowią dobra pabianickie, tak że wyczerpać wszystko byłoby niemożliwym. Mimo to autor daje skończony obraz historyczny dawnego majątku kapitulnego. Z mnóstwa foliałów i aktów wyłonił skrzętny badacz ośmiowiekową jego przeszłość, która zrazu snuje się pasmem wątłem i urywanem, jak struga polna ginąca w piaskach, niebawem jednak rozciąca przed nami nieprzerwany obraz społecznego i ekonomicznego rozwoju tego zakątka.

Praca dzieli się na 3 części, z których pierwsza — poprzedzona opisem położenia geograficznego i topograficznego — obejmuje historję do wieku XIX., mianowicie: ogólne dzieje włości, zarząd majątku, ludność i ziemia, stosunki kościelne i ekonomiczne; część II. stanowi opis poszczególnych miejscowości, zaś III. przejście majątku do rąk prywatnych i wykazy statystyczne.

Dla nas najciekawszą jest część druga. Wprawdzie skrupulatny historyk starał się napisać rzecz ścisłą tylko pod względem historycznym, mimo to i etnograf odnajdzie tam wiele cennego dla siebie materiału. Nie mówimy tu już o stanie klas społecznych, w pierwszym rzędzie o włościanach, który ostatecznie nie jest tak dalece odmienny, niż w reszcie województwa, czy w innych dobrach duchownych. Przy opisie wielu miejscowości podaje genezę i źródłosłów ich nazw, a przy mieście Pabianice także podanie ludowe o jego powstaniu. Dla nas to, co prawda, nie wiele, lecz jako rzecz historyczną autor chciał ją przedstawić „bez zabarwienia jej jakimibądź ubocznymi względami“.

Dzieło zdołają: 3 mapki (archeologiczna, rewizyi Długoszowej, miejscowości), 7 autotypii i 14 rycin w tekście.

Wincenty Badura.

Żmigrodzki Michał. *Przegląd archeologii do historii pierwotnej religii.* Kraków. 1902.

Dzielko niniejsze przedstawił autor wraz z tłumaczeniem francuskim akademii król. belgijskiej. Referent akademii prof. hr. Goblet d'Alviella w urzędowym biuletynie mówi o tej książce: „Autor od wielu lat pracuje nad archeologią krzyża i swastyki (*la croix gammée*) a tu zebrał wszyst-

kie monumenty narodów niechrześcijańskich. Na tej podstawie autor twierdzi, iż pierwotna, całemu rodowi ludzkiemu wspólna religia, była pewnego rodzaju monoteizmem. Nie jestem tego zdania, a jednak muszę przyznać autorowi niemalą bystrość i pracowitą cierpliwość, z jaką zestawił swe materiały, stanowiące wyczerpujące repertorium do tej kwestyi naukowej“.

Pisząc się w zupełności na powyższe zdanie tak wybitnego uczonego, jakim jest hr. Goblet d'Alviella, profesor porównawczej historii religii na uniwersytecie w Brukseli, nie myślę przez to obniżyć wartości pracy autora, który z niezmierną pracowitością i wielką energią w pracy tej zgromadził tyle materiału dla poparcia swej tezy, iż materiał ten sam przez się stanowi już cenny przyczynek do historii religii narodów.

Dr. A. Kalina.

Sławianowiedienije w 1901 godu. Sistematiczeskij ukazatel trudow pa jazykoznaniju, literaturie, etnografii i istorii. Sankt-Pietierburg, 1903. 8-ka, str. XXII., 236 i 1 nlb.

Do niedawnego jeszcze czasu słusznie wyrzekało wielu uczonych słowiańskich na brak informacyi wzajemnej, co u którego z bratnich narodów działano na polu nauki. Co się tyczy prac, które ukazywały się w osobnych książkach, to o nich jeszcze można było dowiedzieć się z rozmaitych pism bibliograficznych. Ale że znowu pism tego rodzaju nie posiadają ani Bułgarzy, ani Serbowie, ani Chorwaci, Słoweńcy i Słowacy, więc jedynym informatorem o ukazaniu się pewnych dzieł z literatury naukowej wymienionych narodów były oceny, o ile się pojawiły w czasopismach fachowych. A że wiele dzieł, i to ważnych, przechodzi bez oceny, więc nie trudno spostrzec, jak powierzchowne musiały być niejednokrotnie nasze o nich wiadomości. Za to o pracach, jakie pojawiały się w czasopismach peryodycznych, to już wprost nieraz nie mieliśmy pojęcia. Przedewszystkiem dlatego, że w bibliotekach stołecznych miast słowiańskich nie można dostać wszystkich czasopism, a nawet, gdyby je można otrzymać, brak czasu nie pozwoliłby na dokładne ich przeglądnięcie.

Odczuwając dobrze, jak taki brak dokładnych wiadomości o literaturze naukowej innych narodów odbija się ujemnie na rozwoju nauki, uznano za konieczne założenie osobnego wydawnictwa bibliograficznego, któreby pomieściło tytuły prac naukowych wszystkich narodów słowiańskich. Myśl ta powstała równocześnie w dwu ogniskach nauki słowiańskiej w Pradze i w Petersburgu. Zasłużeni a dzielni profesorowie uniwersytetu czeskiego Polivka, Pastnek i Niederle wydali dwa tomy „Věstnika slovanské filologie a starožitnosti“, mieszczące w sobie bibliografię za rok 1900 i 1901. Równocześnie ces. Akademia w Petersburgu wydała w r. 1900 taką samą pod względem treści publikację p. n. „Sławianowiedienije w powriemiennych izdanijach“. Różniło się to wydawnictwo od czeskiego tem, że oprócz bibliografii prac językoznawczych, literackich i etnograficznych włączono też bibliografię prac historycznych.

Obecnie rozszerzono w dwójnasób niemal to wydawnictwo dodając przedewszystkiem bibliografię dzieł i prac, które ukazały się oddzielnie,

powtórę przeglądnięto znacznie większą liczbę czasopism. Usilnym staraniem redakcyi, na czele której stanął znany sławista prof. A. J. Sobolewskij wraz z współredaktorami prof. Baudouinem de Courtenay, St. Ptaszyckim, P. A. Ławrowem, A. L. Pietrowem i A. A. Szachmatowem, należy zawdzięczać dokładność tej bibliografii. Redakcyja bowiem postarała się o współpracowników w różnych krajach (z Polaków wzięli udział pp.: Romualda Baudouin de Courtenay, prof. Witold Nowodworski, S. Ptaszycki, Henryk Ujazdyn, Feliks Koneczny, Adam Chmiel i Koch), ażeby uzyskać jak najliczniejszy materiał. Zasluga to wielka i niezaprzeczona.

Omawiane wydawnictwo ma tylko jeden błąd i to niemaloważny, a jest nim brak indeksu autorów. Dlaczego go nie zrobiono, skoro jest on niezbędnym w publikacjach bibliograficznych, nie wiem. Ale wiem za to i czuję dokładnie, jak wielce brak jego utrudnia poszukiwania, zwłaszcza, jeśli się zważy, na ile to działów i poddziałów rozłożono tu tytuły prac, jeśli się zważy, że jeden i ten sam autor pisał nieraz o literaturze polskiej, a zarazem n. p. o czeskiej, że dalej pracował n. p. w folklorze. Jeśli się tedy chciało poznać całą jego działalność w r. 1901, to należałoby iść krok w krok, wertować kartkę za kartką i tak dopiero śledzić jego prace. Trud ten cały i czas na to stracony byłby zupełnie niepotrzebny, gdyby przy końcu książki umieszczono spis nazwisk autorów taki, jaki jest n. p. w „Věstniku slovanské filologie“. Ułożenie jego nie wymaga wielkiej pracy, a podniosłoby znacznie wartość samego wydawnictwa i ułatwiłoby innym poszukiwania w niem i umożliwiłoby wyrobienie dokładniejszego i lepszego poglądu na całość. Oby bodaj przy najbliższych tomach tej publikacyi brak wskazany został usunięty!

Tak samo przydałby się indeks rzeczowy, ale ten już nie jest tak bardzo potrzebny, to też o niego nie nalegamy. Jeśli się jednak miało sporządzić spis nazwisk autorów, to za jednym zachodem możnaby pięknie wykonać i ten drugi. Przy jednej robocie czasu na tę drugą zużyłoby się bardzo mało, a pożytek znowu byłby większy.

Oprócz bibliografii działu ogólnosłowiańskiego i cerkiewno-słowiańskiego mamy tutaj zebrane wszystkie, z wyjątkiem Rosyan i Rusinów, narody słowiańskie. Są tu zatem połabscy i bałtyccy Słowianie (do których, zdaje się, przyłączono Kaszubów), Serbowie łużyccy, Czesi, Słowacy, Słowieńcy, Rosyanie i inni Słowianie północnych Włoch, Serbo-Chorwaci, Bułgarzy i Słowianie macedońscy. Jeżeli jednak porównać zechcemy naszą wytwórczość na polu literatury naukowej z produkcją wszystkich dopiero co wymienionych narodów, okaże się jak na dłoni, o ile my od nich wyżej stoimy. Boć wszyscy oni razem wzięci dali zaledwo tyle, ile my sami zdołaliśmy wytworzyć. A należy przytem jeszcze zważyć i tę okoliczność, że nie wyzyskano w tej bibliografii wielu pism polskich codziennych, zamieszczających prace naukowe w feljetonach (n. p. „Gazeta lwowska“, „Słowo polskie“, „Czas“, „Tydzień“ i t. d.). Gdyby je zużytkowano — wyższość po naszej stronie byłaby jeszcze widoczniejsza, bo i tak zajmują rzeczy polskie większą część omawianego wydawnictwa.

Ale wynik ten niechaj nie będzie dla nikogo bodźcem do wypowiedziania sądów o naszej pracowitości. Bo to, że daliśmy sami więcej, niż tyle narodów, tłumaczy się naszą kulturą i korzystniejszymi warunkami umysłowego rozwoju. Braków w każdej gałęzi wiedzy jest u nas bardzo

wiele, podczas gdy sił i chęci do ich usunięcia — niestety — bardzo mało! Pod względem pracowitości na niwie naukowej raczej nam należy brać z innych przykład, z tych, gdzie jednostki wprost cudów dokonują! Faktem jest jednak, że jedni Rosyanie mogą się tylko z nami mierzyć pod względem dorobku naukowego (pracom, dotyczącym się rzeczy rosyjskich będzie poświęcony osobny tom). To też świadomość prac naszych nie do wygodnej drzemki na laurach, jeno do tem wydatniejszej pracy powinna nas pobudzać!

Kończąc tę ocenę wyrażamy nadzieję, że przyszłe tomy „Sławiano-wiedienija“ będą wolne od tych nielicznych błędów, jakie musieliśmy wytknąć, że zogniskują w sobie cały dorobek naukowy słowiański, na pożytek wiedzy i ludzi chętnych do pracy.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Farnik Ernest Dr. *O poezyi ludowej na Śląsku cieszyńskim.* (VIII. sprawozdanie dyrekcji polskiego gimnazjum prywatnego w Cieszyńcu) 1903. str. 36, odbitka.

Autor oparł swą rozprawkę na dwu zbiorach, zawierających specjalnie pieśni ziemi cieszyńskiej, na zbiorach Dr. Andrzeja Cinciwały: Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna, w Krakowie 1885 i ś. p. Józefa Londzina, nauczyciela z Zabrzega, dotąd nie ogłoszonego jeszcze drukiem. W części pierwszej stara się autor odtworzyć wrażenia, myśli i uczucia ludu na podstawie pieśni. Czyni to z wielkim zapalem i życzliwością dla ludu. Widzi jednak w nim tylko same dobre przymioty, tak że lud cieszyński, według przedstawień autora, jest zacny, szlachetny, idealny; stron ujemnych w nim nie znajduje. W drugiej części mówi o poetach domorosłych, podając charakterystykę ich samorodnych utworów. Najlepszym z tych poetów jest Adam Sikora, prosty tkacz, bez żadnego wyższego wykształcenia. Ma on rzeczywiście poetycki rozmach, niestety brak wiedzy i szerszego widnokregu powstrzymuje jego polot.

Dr. J. Leciejewski.

Młynek Ludwig. „Konik“, „Turoń“, „Miś“, „Koz“, „Bokkus“ (Thiercultus in Galizien) von... (Zeitschrift für österreichische Volkskunde, Roczn. IX. str. 108 i nast.).

Krakowskim „Lachom“ — powiada p. Młynek — dotychczas znanym jest tylko „Konik Zwierzyniecki“, i przeczucia nawet nie mają, żeby coś podobnego także gdzieindziej mogło się znajdować. Dumni niezmiernie ze swego konika zwierzynieckiego, poplątali go z rodzimą historią, która sięga zamierzchłej przeszłości i połączyli z podaniami, wiążącemi się z Krakowem. Niestety, nadeszła chwila, w której ten powód dumy musi im

być odjęty! P. Młynek podjawszy się tego posłannictwa „in dieser Zeitschrift“ i ciesząc się już z góry konfuzyą nieszczęsnych Lachów, oznajmia z tryumfem, że ich „narodowo polski“ konik jako etnograficzne zjawisko nie jest im samym tylko właściwy. Bo oto w Galicyi wschodniej jest także „narodowy konik trembowelski“, podobnie jak u patriotycznych Krakowian. Nie wie wprawdzie p. Młynek, czy ten konik ma także ojczyzną historycę, gdyż mimo najszczerzej chęci o tem dowiedzieć się nie mógł. Nie mu to jednak nie przeszkadza i w następnym zaraz zdaniu twierdzi, że konik trembowelski, czemkolwiek różni się od zwierzyńckiego — to tylko nie swoją właściwością mitologiczną: obydwa bowiem wskazują widoczne ślady pogańskiego obchodu religijnego z tą różnicą, że pierwszy jest prastarym zwyczajem chłopskim, drugi natomiast mieszczańskodworskim — z późniejszych czasów.

Skądże zatem taka pewność o dawności konika trembowelskiego, o którego istnieniu p. Młynek mógł się wprawdzie naocznie przekonać, lecz dowiedzieć nie mógł się niczego? Co zaś do konika zwierzyńckiego, odnoszę wrażenie, że p. Młynek historii jego zupełnie nie zna, jak to się pokaże. W jaki też sposób pomimo to doszedł do wniosku o wspólnych właściwościach istoty mitologicznej obydwu, to także tajemnica.

Bo o ile miły nam ten obchód, o ile zeń nawet możemy być dumni, co p. Młynka niepotrzebnie gorszy, o tyle nie jesteśmy znów tak bardzo nieświadomi w tej sprawie, a w tradycyi, pomimo wszystkiego, nie upatrujemy wcale istotnej przyczyny powstania obchodu.

Następuje opis konika trembowelskiego, objaśniony ilustracją, która z opisem o tyle zostaje w sprzeczności, że przedstawiony na niej konik, bynajmniej nie ma zakrytych nóg, „pożyczonych od wieśniaka“, podczas gdy to w opisie wyraźnie zaznaczono.

Konikowi trembowelskiemu towarzyszą „dziady“ i „baby“; według p. Młynka „włóczki“ przy koniku zwierzyńckim — to nie żadna nazwa oznaczająca flisaków, ale pojęcie analogiczne z włóczęgą („włócki oder (?) włócegi — Landstreicher“); przy tej sposobności nie omieszkął nawymyślać Polakom, że nie rozumiejąc „lachoskiego“ słowa „włócki“, tak fatalnie je identyfikują. Ciekawy jestem tylko, gdzie to p. Młynek słyszał wyraz „włócki“, mający identyczne znaczenie z powszechnie używanem przez okoliczny lud krakowski „włócegi“?

Tyle o konikach. Co się znów tyczy innych w tytule zaznaczonych „obchodów“ — to o tych w artykule p. Młynek nie wiele powiada. Ciekawem tylko, że odkrył w nich refleks słowiańsko-germańskich bóstw. I tak: „turoń“ jest pozostałością kultu Thôra, „koniki“ kultu Wodana, „Miś“ zaś jest bóstwem czysto słowiańskim; nadto maoruska „koza“ i lachoski „Bokkus“ — to resztki „kultu Dyonisosa w Galicyi“. Kto chce, niech wierzy!

W końcu zaznacza p. Młynek, że konika zwierzyńckiego pospolicie zowią lajkonikiem. Wedle jego zapatrywania nazwa ta powstała z „laj“, co jest zepsem niemieckiem wyrażeniem formy rozkazującej od laufen (laufe, lauf, laüf — laj) i „konik“. Żeby zaś nikogo nie zostawić w wątpliwości, dlaczego to słowo jest częścią niemieckie, częścią polskie, objaśnia, że część polska jest nazwą „lachoskiego bóstwa“ (konik), na którego dawniej Niemcecy mieszkańcy Krakowa wołali: „koniku! laüf!“

Może nieukom akurat p. Mlynek trafił do przekonania! Trzeba jednak było powiedzieć, co się ma rozumieć pod określeniem „dawniej“, bo poprzednio twierdził, że konik zwierzywiecki jest zwyczajem z „późniejszych czasów“.

Oto jak się przedstawia ów galicyjski Thiercultus!

Wincenty Badura.



SPRAWY TOWARZYSTWA.

I. Posiedzenia Zarządu centralnego.

II. Posiedzenie za rok adm. 1903 odbyło się 30. października w sali botanicznej c. k. uniwersytetu. Obecni pp.: Bal, Bayger, Dr. Gargas, Dr. Kalina, Dr. Leciejewski, Rybowski i Dr. Zdziński. Nieobecność usprawiedliwili pp.: Siwak, Sołtys i Dr. Studziński. Przewodniczył Prezes Tow.

I. Przyjęto 23 nowych członków.

II. Przeprowadzono wyczerpującą dyskusję w sprawie członków oraz dalszego rozwoju Tow.

III. Na najbliższe zebranie naukowe przeznaczono odczyty pp.: Dra Studzińskiego, Dra Piaseckiego, Dra Gargasa i Rybowskiego.

II. Posiedzenia naukowe.

Trzecie posiedzenie naukowe odbyło się 19. listopada w Muzeum botanicznem c. k. uniwersytetu, na którym prof. Dr. Cyryl **Studziński** odczytał pracę p. t. „*Ukraińskie melode Markiewicza*“. Treścią odczytu był gruntowny rozbiór wydanych w r. 1831 przez zasłużonego historyka i etnografa Markiewicza, poezyi p. n. „Ukraińskie melode“. Omówiwszy przedmowę do tej książki, zawierającą ogólny rys etnograficzny Ukrainy, rozebrał prelegent utwory poetyckie, które podzielił na cztery kategorie. Jedne z nich osnute są na wierzeniach i zabobonach ludowych, drugie na zwyczajach, inne znowu mają za przedmiot opiewanie przyrody lub faktów historycznych. Utwory pierwszych dwu działów oparte są w zupełności na materiale etnograficznym, o czem nie trudno przekonać się z porównania ich z inną późniejszą pracą M. — z „Powierjami“. Poezycy te jednak mają wartość czysto etnograficzną, bo M. nie potrafił owiać ich polotem poetyckiego natchnienia, ani też nadać im głębszej myśli. Poezycy